

Zdzisław Najder

O realizmie politycznym

Wśród trzasku wystrzałów w Temeszwarze, Bukareszcie i Braszowie dobiegł końca rok niesamowity. Ci spośród naszych przodków, którzy znali łacinę, z pewnością nazwaliby go "annus mirabilis", rok cudów. Długo jeszcze będzie się go odtwarzać w pamięci, analizować przyczyny nagłego spiętrzenia wydarzeń, szukać analogii (we Francji nasuwa się oczywiście zestawienie z Wielką Rewolucją; w naszej części Europy narzuca się skojarzenie lepsze: z Wiosną Ludów 1848). Nie chodzi mi tutaj jednak o podsumowanie czy zestawianie. Chcę się cofnąć o dziesięć lat wstecz i rozważyć, jak z tej perspektywy wyglądają przepowiednie tak zwanych "realistów politycznych". Chcę się zastanowić, na czym polegał ich błąd. Dlaczego różni mądrzy ludzie, opierający się na "beznamiętnej analizie faktów", tak się mylili w swoich prognozach?

Otóż sądzę, że tak zwani "realiści" popełniają zwykle dwa błędy. Po pierwsze biorą to, co istnieje już jakimś czas - za trwałe i wręcz niezmienne. Tak patrzyli na imperia brytyjskie i rosyjskie na początku naszego stulecia (podejrzewam, że "realizm polityczny" Romana Dmowskiego brał się nie tylko z przenoszenia darwinizmu ze świata zwierząt na świat ludzi, ale i z zauroczenia Anglią - wcieleniem doskonałości). Tak patrzyli "realiści" jeszcze niedawno na podział Europy. Tymczasem naprawdę? Główną cechą ludzkiej rzeczywistości jest to, że się stale zmienia; właśnie stan zamrozenia jest sztuczny i wyjątkowy. Po drugie, realisci są skłonni zapominąć o wpływie ludzkich przekonań i uczuć na bieg wydarzeń historycznych. Realista jest zdania, że ludzie kierują się zawsze tylko swoimi interesami i ustępują przed siłą. A to jest po prostu nieprawda. Ludzie kierują się, zwłaszcza w zachowaniach zbiorowych, głównie swoimi wyobrażeniami, z którymi wiąże uczucia i nadzieje. Potrafią wierzyć w różne rzeczy, które tak zwany realista uważa za absurdalne - i swoją wiarą przenoczą góry przeciwności, to, co wyobrażone zmieniają w rzeczywiste.

Wszyscy dzisiaj kpią sobie z realisty Stalina, który pytał rzeczowo o liczbę papieskich dywizji. Mniej więcej w tym samym czasie marzyciel Jean Monnet snuł projekt utworzenia związku państw, które dopiero co przestały toczyć ze sobą

kolejną wojnę. Wyrósł z tych fantazji dzisiejsza Europejska Wspólnota Gospodarcza.

Dziesięć lat temu prawie polemizowałem w paryskiej "Kulturze" z czołowym naszym realitą, Stefanem Kisielewskim. Warto było się z nim kłócić, bo był też w opozycji. Kisielewski głosił wówczas (w "Kulturze" z marca 1980) trzeźwy, jak mówił, pogląd, że podział Europy nie zmieni się jeszcze przez długie lata, i że wobec tego trzeba porzucić polskie mrzonki o "suwerenności", "niezależnej polityce zagranicznej", i tym podobnych fanaberiach.

I oto dzisiaj podział Europy rozłazi się w oczach, w Warszawie mamy rząd z nie-komunistycznym premierem, w Pradze śpiewano Te Deum nowemu prezydentowi a niedawnemu więźniowi, w powietrzu pachnie niepodległością. Dlaczego się tak stało?

Stało się tak, sędzę, z trzech wielkich powodów. Po pierwsze, nie-realisci wśród Polaków upierali się przy swoim. Nie rezygnowali z dążenia do wolności i niezależności. Porywali się z motyka na słońce, tłukli głową w mur. Głosili, że rzeczywistość może się zmienić. A ponieważ okazało się ich być dostatecznie wielu, rzeczywistość zmieniła się naprawdę. Po drugie, Polakom udało się wynaleźć nową formułę na zorganizowanie się społeczeństwa. Był nią związek zawodowy "Solidarność". Związek, którego członkowie byli zarazem pracownikami i obywatelami, walczyli o prawa zawodowe i o prawa obywatelskie; związek, który usiłował włączyć ludzką pracę zarobkową w całość publicznego życia swoich członków. Nikt nie był na coś takiego przygotowany, bo w katalogach różnych form związków zawodowych i ruchów politycznych nic podobnego nie figurowało. Z takim związkiem nowego typu trudno było skutecznie walczyć. Po trzecie, świat i Europa zmieniały się mimo pozorów trwałości podziału na dwa bloki; i zmienił się zwłaszcza blok sztucznie zamrożony pod koniec lat czterdziestych. Okazało się, że system komunistycznego centralizmu w stosunkach międzynarodowych i realnego socjalizmu w poszczególnych krajach nie jest zdolny do ewolucji i musi ulec likwidacji. Jednocześnie słabła psychoza zagrożenia militarnego.

Wyliczyłem te trzy powody w powyższej kolejności, bo taka była kolejność historyczna ich występowania. Gdyby Polacy nie upierali się przy swoich romantycznych wizjach i żądaniach, i gdyby nie wynaleźli "Solidarności" - rozpad

komunizmu mógłby przyjść później, nie tylko u nas, i mógłby inaczej wyglądać. Na przykład po rumuńska. Polska jest za dużym krajem i zbyt centralnie położonym, by móc sobie pozwolić na czekanie na innych.

Dziesięć lat temu realista Stefan Kisielewski głosił również tezę, że należy się konteńcznie "dogadać z Rosjanami", bo inaczej nie uzyskamy żadnego wpływu na to, co się w Polsce dzieje; przypominał swój postulat wielokrotnie, dając powód do znanego żartu, że "pan Kisielewski nie zna odpowiedniego numeru telefonu w Moskwie". No i teraz niekomunistyczny premier PRL pojechał do Moskwy i jakoś się dogadał. Ale rozmawiał na zupełnie innych podstawach, niż to swego czasu proponował nasz realista. Bo Polacy najpierw zmienili ustrój, a potem zaczęli rozmawiać z Moskwą. W tym cała rzecz. I tylko dzięki uporowi szaleńców i marzycieli "realistyczny" projekt nabrał sensu i dał się spełnić.

Na zakończenie jeszcze dodatkowa refleksja, mniej optymistyczna. Myślę, że Polacy, osiągnąwszy niebywały sukces dzięki związkowi "Solidarność", który tyle razy spisywano na straty i który otworzył nam drzwi i okna na swobodę - jakby się zacukali własnym sukcesem. Ponieważ formuła związku zawodowego "Solidarność" była tak nowa i odmienna - zabrano się do jej przykrawania do istniejących gdzie indziej wzorów. Ponieważ związek był kiedyś tak silny, zaczęto wyrażać (nawet w jego kierownictwie!) obawy, że to niedobrze, że może lepiej, aby był słabszy. Sprawozdania z regionalnych przygotowań do II zjazdu NSZZ "S" świadczą o nastrojach defensywnych, mimo, że właśnie "S" zwycięsko wpłynęła na bieg historii. Myślę, że te nastroje mogą doprowadzić do zmarnowania i wielkiego dorobku społeczno-narodowego, i cennego doświadczenia. Jesteśmy od dziesięciu lat w wyjątkowej - powiem: coraz bardziej wyjątkowej, sytuacji politycznej. Żeby ją dla własnego dobra wykorzystać, trzeba stale szukać nowych, wyjątkowych sposobów działania. To jest też spuścizna "Solidarności" i to jest szansa spełnienia naszych potrzeb i naszych marzeń.

Bo PRAWDZIWI realizm polityczny polega na tym, że się rzeczywistości nie ulega, ale ją bierze za głowę.